



## Jan Hernik

Sygnatura notacji: **N0190**

Data urodzenia: **24.04.1943 r.**

Data nagrania: **06.2008 r.**

Miejsce nagrania: **klasztor, Udział, Białoruś**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna T. Pietraszek**

Czas nagrania: **50 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Jan Hernik:** Ojciec Jan Hernik, franciszkanin konwentualny, Maksymilian Kolbe.

**Anna Pietraszek:** I jakie są księdza losy misyjne, franciszkańskie? Gdzie, kiedy się zaczęło?

**Jan Hernik:** Zaczęło się w Niepokalanowie dla mnie, kiedy byłem małym chłopcem, jak tylko po odwilży niższe seminarium otworzyli w 1957 roku.

**Anna Pietraszek:** I co było dalej?

**Jan Hernik:** A dalej najpierw jako chłopiec, później już w Gnieźnie na nowicjacie byłem i zostałem zakonikiem.

**Anna Pietraszek:** W którym roku?

**Jan Hernik:** Śluby pierwsze złożyłem w 1960 roku.

**Anna Pietraszek:** I jaka dalsza droga?

**Jan Hernik:** A dalej studia. Skończyłem w Niepokalanowie najpierw, a później studia filozoficzne w Łodzi, w Łagiewnikach i teologiczne w Krakowie.

**Anna Pietraszek:** I dalsza droga?

**Jan Hernik:** A dalej po święceniach, po dodatkowym studium duszpasterskim pracowałem najpierw na Wybrzeżu. Gdynia, tam przeżyłem ten straszny czas, grudzień 1970.

**Anna Pietraszek:** W jakim mieście?

**Jan Hernik:** W Gdyni.

**Anna Pietraszek:** Czy miał ksiądz jakieś specjalne wtedy doświadczenia?

**Jan Hernik:** Przeżycie było straszne. Straszne. Bo myśmy tam byli na Wzgórzu, nasz kościół franciszkański. Wtedy nazywali Wzgórze Nowotki, teraz się nazywa Wzgórze Świętego Maksymiliana, bo on tam bywał. Myśmy patrzyli na to, co się działo już w przeddzień krwawego czwartku, jak te kolumny wojska jechały w wozach opancerzonych, a później msze odprawiałem rano i wtedy kończy się msza i właśnie wtedy karabiny maszynowe. Później już cały dzień był taki, że ludzie szli z tym pierwszym zabitym tam od stoczni do nas, bo u podnóża naszego kościoła rada miejska i tę chorągiew polską, ten krzyż, który nieśli na czele, u nas schowali na Wzgórzu. Nowotki teraz. Kiedyś przed wojną Wzgórze Focha, pewnie jakiś działacz tamtejszy. Przeżyłem strasznie, to był mój pierwszy rok pracy kapłańskiej. Tak że poprosiłem o kilka dni, żebym jakoś ochłonął z tego i tak na samotni tam u sióstr zakonnych w Orłowie przebywałem, chodziłem po plaży. Wracam i w jakiejś sprawie tam udałem się do miasta i ludzie mówią: „To ojciec żyje, bo tu powiedziano, że zabili ojca”, dlatego, że mnie nie było kilka dni w klasztorze i w kościele. Takie były moje pierwsze przeżycia jako kapłana.

**Anna Pietraszek:** A jaka dalsza droga?

**Jan Hernik:** A dalsza, to już później pracowałem w Kołobrzegu. To jest przy tej parafii, gdzie jest teraz konkatedra kolegiata kołobrzaska. Wielka była parafia, 30 tysięcy. Właśnie w tym czasie, po roku odeszliśmy stamtąd, franciszkanie, ponieważ powstały nowe diecezje, już pełnoprawne w 1972 roku. A później byłem w Darłowie. Z Darłowa przybyłem tu do środkowej Polski, do Miedniewic koło Żyrardowa. Właśnie z Miedniewic, jednym z moich uczniów jest tutaj ojciec przełożony. Ten z brodą, ojciec Mirosław, gwardian. Wtedy do pierwszej komunii przygotowywałem go. A po Miedniewicach, tam jest takie sanktuarium maryjne z cudownym obrazem. Po Miedniewicach, po krótkim okresie w Niepokalanowie wysłano mnie do Stanów. Był rok 1976. Na rok czasu. Ponieważ ze Stanów przybywał do Polski franciszkanin, Amerykanin, który chciał nauczyć się polskiego. Miał polskie nazwisko, ale po polsku nie mówił. I po roku miałem wrócić, ale on wrócił, a mnie kazano zostać. I tak się to przedłużało, że przez 24 lata w Stanach Zjednoczonych pracowałem w parafiach polonijnych. Od Nowego Jorku począwszy.

**Anna Pietraszek:** I jakby je wyliczyć? Właśnie.

**Jan Hernik:** Nowy Jork, później Bridgeford pięć lat. Bridgeford to jest stan Connecticut, a później Holyoke, stan Massachusetts to 12 lat i później krótko byłem przez trzy lata w Lorenz, też stan Massachusetts. I koniec, trzy lata ostatnie w Bostonie.

**Anna Pietraszek:** I jakie szczególne wspomnienie stamtąd, jakieś najważniejsze doświadczenie z tej Ameryki? Jak ta Ameryka katolicka wygląda?

**Jan Hernik:** Jakby powiedzieć... Myślę, że Kościół katolicki jest prężny i dużo znaczy, choć nadal katolicy nie są uważani za takich Amerykanów z głównego nurtu. Tak że jakby trochę nie w pełni Amerykanie. Ale wnoszą swój wielki wkład, spotykają się z wyzwaniami, ze sprzeciwami i mają swoje słabości też jak to doskonale znane, nagłaśniane są, gdy chodzi o to z młodzieżą, z dziećmi, molestowanie przez księży, co jest przesadnie uwypuklane, nagłaśniane. To jest właśnie wyraz tej postawy wobec katolików, że innych się jakoś osłania, a katolików zaraz, jeśli się gdzieś zdarzy taka rzecz. Ja w środowiskach polonijnych i polskiej tej emigracji powojennej pracowałem głównie. Wśród weteranów, którzy się gromadzili w polskich parafiach i podtrzymywali tego ducha polskiego. Później wymierali, to pokolenie odchodziło i wtedy zaczęło przychodzić pokolenie solidarnościowe. To już w latach 80. przyjmowaliśmy ich. Nie bardzo się tak integrowali ze środowiskiem polskim. Nie wiem jak teraz jest, ale z początku to nie trzymali się tej starszej Polonii. Nie tej dawnej, powiedzmy drugie, trzecie, czwarte pokolenie, ale tej powojennej.

**Anna Pietraszek:** A jakby można było porównać tę emigrację powojenną i tę emigrację solidarnościową, to czym się różnili?

**Jan Hernik:** Powojenna, ci weterani, oni bardzo sobie cenili i walczyli o zachowanie polskości. Tym się wyróżniali od tej nowej Polonii, najnowszej, tych solidarnościowców, którzy się wtapiali bardziej w swoje środowisko, język znali lepiej i chcieli pójść na wyższe stanowiska prędkiej, więc tamci trzymali się razem, trzymali się bardzo parafii. To chyba taka różnica, ale ja tylko te pierwsze lata oglądałem, to nie mogę powiedzieć, jak dalej się sprawa potoczyła, bo wiadomo, że jak przybędą do Ameryki, to najpierw chcą się dorabiać, więc wszelkimi sposobami zrywają ze swoim środowiskiem, a później myślę, że będą też wracać, odnajdywać się jakoś, jednoczyć się bardziej. Tak że to wrażenie pierwsze może nie jest takie pełne.

**Anna Pietraszek:** A jak dalsza droga?

**Jan Hernik:** A dalsza droga, miałem wrócić do Polski już wcześniej, ale tam jeden z naszych ojców przybył młody i trudno mu było tam wytrzymać, bo to jest przeżycie jednak ciężkie dla takich powiedzmy już ukształtowanych ludzi. Dzieciom jest łatwo, ale ci, którzy przybędą, to jest kultura inna, język już nie jest taką trudnością, powiedzmy. Choć dla niektórych może stanowić trudność nie do pokonania. Ale ta kultura, sposób życia, człowiek ukształtowany już w pełni, mając 33 lata, to mogłem tylko przyswoić sobie te wartości amerykańskie, ale już nie mogłem pozbyć się tego garbu czy dziedzictwa polskiego, więc pozostałem sobą i tylko przyjąłem, a ja wiem, jak z tą posolidarnościową falą będzie? Nie wiem. Nie wiem, jak tam dalej się rozwija sprawa. Trudności na pewno były dla tych, którzy przybywali, dla kobiet może bardziej niż dla mężczyzn. Sporo wypadków w naszych parafiach było, że psychiczne były jakieś

choroby kobiet zwłaszcza. Nawet młodzież, jak już miała te, powiedzmy 17-20 lat. Im trudno było się przestawić. To trzeba było się w to wczuć i jakoś im służyć, i jakoś wspomagać ich. Dla wielu naszych zaczyna się od zera po prostu. Nie ma się znajomości. Nawet jeśli się zna język, wszystko się zostawia za sobą, trzeba rozpoczynać od nowa. Nie wszyscy do tego są przygotowani i się gubią niektórzy. Ja jakoś z trudnościami, ale przeszedłem przez to wszystko, tak że teraz rozumiem tych ludzi, co przeżywają. Bo co innego jest przybyć tak w odwiedziny jako turysta, a co innego tam pozostać i wejść głębiej w te sprawy, w to środowisko. Miałem powrócić do Polski, ale wtedy dowiedziałem się, że wyrzucono jednego z naszych ojców z Grodna. I władze zakonne poprosiły mnie, żebym przyjechał tutaj. Tak że prosto, można powiedzieć, z Ameryki. W Polsce się zatrzymałem przejazdem dwa tygodnie tylko i te wszystkie rzeczy, co przysły, nawet tu mam jeszcze takie pojemniki, takie dawne, stare, to biskupi oglądali. Wszystko to przyszło i z tym przyjechałem na Białoruś.

**Anna Pietraszek:** Który to był rok?

**Jan Hernik:** To był 16 października 2000 rok. Do Grodna przybyłem i na granicy pytają, co tam jest, a ja mówię: „Moje osobiste rzeczy, książki i wszystko, co mogłem wziąć, statkiem przesłane ze Stanów”. I nawet nie otwierali, tylko zapytali, ze strony białoruskiej: „A dokąd jedzie?”, a ja mówię: „Do Grodna”, „Dokąd, do jakiej parafii?” „Do franciszkańskiej”. A ten mówi jeden pogranicznik: „To ja tam ślub miałem, to jedźcie dalej”. U franciszkanów bardzo dużo ślubów w Grodnie było i jest pewnie dalej. I tak się zaczęło. Zaczęłem poznawać to środowisko i okazało się, że ja wróciłem jakby do Polski. Tam wszystko po polsku. W kościele wszystko po polsku. Można się z każdym po polsku porozumieć. Ja rozumiem po białorusku, ale nie mówię po białorusku. Nie chcę kaleczyć języka, nie mam przygotowania odpowiedniego z językiem, a oni mnie rozumieją. Wczoraj na przykład kazanie głoszę po białorusku i po białorusku nie mogę, więc po polsku. Ale pani katechetka zaczyna przekładać i jej trudno jest przełożyć. Pytam ludzi, oni mówią: „My rozumiemy”. I po polsku mówiłem do nich. Odnalazłem jakby Polskę sprzed mojego wyjazdu. Tu jest mniej więcej tak, jak w Polsce było przed 1976 rokiem. Taki jest ustrój mniej więcej, jak był w Polsce, taki stan stosunków, religijność mniej więcej taka, jaka była dawniej w Polsce, przed przełomem. Tak jakbym odnalazł się. W Polsce jest inaczej. Byłem właśnie, jak wspominałem w Polsce, choć jeździłem tam latem na miesiąc, powiedzmy, ale to jako turysta z zewnątrz oglądam, ale jest inna Polska.

**Anna Pietraszek:** A jak długo ksiądz był w Grodnie?

**Jan Hernik:** W Grodnie byłem do 2002 roku, czyli dwa lata. Dwa lata. Ktoś tam doniósł. Ja zresztą miałem msze te główne dla dzieci. Najwięcej uczęszczane. To oni wszyscy tam wiedzieli. I KGB wiedziało, że ja jestem tutaj niezgodnie z prawem tutejszym, ale nie dawali mi tych uprawnień, żebym mógł być tu i żebym wizę mógł otrzymać. Więc byłem, aż ktoś doniósł i wtedy przysły dwie panie z milicji i dowód mi zabrano, i powiedziano, że w ciągu 48 godzin mam być usunięty pod eskortą za granicę i mam zapłacić, już nie pamiętam ile, grzywnę bardzo wysoką. 18 czy 20 tych najniższych pensji. I ten gospodarz, gdzie ja mieszkalem, ma zapłacić jeszcze wyższą grzywnę. Ale tam przełożony poszedł do nich i oni na to czekali, ta milicja. Że zależy nam na tym, żebym nie miał wpisu, zakazu na pięć lat. I oni mówią, dobrze, jeśli przyniosę zaświadczenie od lekarza, takie usprawiedliwienie i jeden lekarz się zgodził. I to prawosławny lekarz. On wypisał, co było trzeba. Odpowiednie zaświadczenia, że mam chorobę wieńcową,

nie mogłem pójść, załatwiać moich spraw. Do kościoła chodziłem tylko, żeby się pomodlić, a gdyby tam zapisano, że ja odprawiałem msze, tak jak było naprawdę, to bym rzeczywiście miał zakaz. I przyjęto to. Mogłem wyjechać swobodnie sobie do Polski. Po ośmiu miesiącach, ponieważ znowu mnie władze zakonne prosiły, żebym przyjechał jednak, tutaj właśnie na to miejsce, to przyjechaliśmy z innej strony, przez Litwę. Tutaj w 2003 roku na początku lipca się znalazłem. I zacząłem poznawać to środowisko. Szukać, badać czytać dzieje franciszkanów, jak tu było, poznawać ludzi. I zacząłem pomagać również w wielu innych miejscach na Białorusi. Ponieważ nas tu było trzech, a tak powinno być zakonników przynajmniej trzech, żeby była wspólnota, to nas trzech było, to prosili nas, ksiądz zachorował albo trzeba było pomóc, zastąpić, to ja byłem pierwszy do tego, żeby pomagać i tak znalazłem się w różnych miejscach i poznałem różne strony Białorusi. Później zacząłem jeździć z misjami, z rekolekcjami po polsku wszędzie. Też poznałem ludzi z innej strony.

**Anna Pietraszek:** A teraz jakie perspektywy?

**Jan Hernik:** Teraz jak będzie dalej, nie wiemy. Na wszystko trzeba być gotowym. Zobaczymy, co będzie. Wiadomo, że ukaz został podpisany, że księża z Polski będą stąd usuwani, czyli wiz nie otrzymają. W przeciągu chyba pięciu lat wszyscy księża z Polski będą musieli opuścić Białoruś. Nie wiem jak, czy nas będą podobnie traktować, jako zakonników, nie wiemy. Choć niektórzy mówią, że może dla nas jakaś ulga będzie. Ksiądz metropolita Kondrusiewicz mówi, że teraz będzie sprawa konkordatu, to może te sprawy da się jakoś załatwić. My przygotowujemy młodych franciszkanów, żeby po nas objęli klasztory i te miejsca, gdzie wróciliśmy. Wśród nas jest taki brat w Mińsku urodzony, brat Karol, przez rok, ale on się kształcił w Polsce w naszym seminarium. Tylko teraz ma dziekanę, czyli rok przebywa tu, z powrotem w swojej ojczyźnie. Przygotowujemy takich następców, ale czy zdążymy? Nie wiem, jak będzie. Jak tam Pan Bóg sprawi, tak będzie.

Głos: Wszyscy rozumieją po polsku. Z czego to wynika?

**Jan Hernik:** Dzieci i młodzież mniej rozumieją. Starsi doskonale rozumieją, bo w polskiej szkole przed wojną się uczyli. Albo nauczyli się od swoich rodziców, albo swojej babci, dziadków. Dzieci się szybko uczą polskiego, jeśli w kościele jest odprawiane po polsku. Na przykład w Grodnie wszystko jest po polsku w kościele. Tak że dzieci w domu rozmawiają po białorusku, ale tą taką mieszanką polsko-białorusko-rosyjską. W szkole po rosyjsku się uczą w Grodnie dzieci i młodzież, w kościele po polsku. I dzieci trzy języki znają, i to dobrze. Ja miałem te msze dla dzieci. Z początku one nie, jak była pierwsza klasa, to słabo, w drugiej lepiej, w trzeciej już doskonale rozumiały wszystko po polsku. W kościele się nauczyły.

Głos: Jeszcze wracając do... Czy możemy wrócić do Gdyni?

**Jan Hernik:** Tak.

Głos: Mówił ksiądz o krwawym czwartku.

**Jan Hernik:** Tak.

Głos: Jak wyglądała sytuacja, jeśli chodzi o poszkodowanych w tamtych wydarzeniach w księdza parafii?

**Jan HERNIK:** Z naszej parafii tylko jeden pracownik stoczni zginął. To jak zwrócono jego ciało, to odprawiliśmy pogrzeb, nocą bodajże, już dobrze nie pamiętam, pewnie nocą to się odbyło. A w ten sam dzień, ten krwawy czwartek był u nas pogrzeb. W kościele było ciało i nie mogliśmy odprowadzić na cmentarz. Więc ciało pozostawało w kościele u nas. I młodzież chroniła się do naszego kościoła. Myśmy wpuszczali tę młodzież, żeby mogła umyć ręce, bo oni odrzucali te ładunki z gazami łzawiącymi i mieli ślady. Wtedy byli wyłapywani i w podziemiach rady miejskiej ich trzymano. Więc te helikoptery krążyły i rzucali gazy łzawiące nad naszym wzgórzem kościelnym. Ta młodzież odrzucała. Później przystali tych młodych ze szkoły milicyjnej z koszalińskiego i oni byli chyba pod działaniem jakichś środków, bo tak się zachowywali jakby jakieś narkotyki mieli. Oni chcieli wtargnąć do kościoła naszego za tą młodzieżą. Myśmy powiedzieli: „Nie możemy wpuścić, bo to jest miejsce święte”. I ten ich dowódca w końcu zabronił im. Jak było dalej, to wiadomo.

Głos: To znaczy, co wiadomo?

**Jan HERNIK:** To znaczy, że zdławiono ten protest robotników i wśród ludzi jednak było wielkie odwrócenie się od władzy, bo wkrótce chodziliśmy po kolędzie. Więc mogliśmy w każdym domu stwierdzić, jakie są nastroje i ja spotkałem na kilkaset rodzin, które odwiedziłem, spotkałem chyba tylko dwa przypadki, gdzie starzy komuniści, już może jacyś emeryci SB czy UB, co oni mówili, że słusznie władze zrobiły. A tak wszyscy, wszyscy jak jeden mąż, jeden duch panował, to wtedy poznałem, jaki jest naród polski, co myślą ludzie naprawdę. Jako młody ksiądz. Moja pierwsza parafia, pierwsza miłość i pierwsze poznanie.

**Anna PIETRASZEK:** I pierwszy pogrzeb stoczniowca, bo powiedział ksiądz, że kiedy wreszcie wydali ciało, to jak długo trzeba było czekać?

**Jan HERNIK:** Nie powiem, ale kilka dni to trwało. Dokładnie nie wiem. Kilka dni.

Głos: Czy potem parafianie księdza mieli problemy z represjami, z nachodzeniem przez SB, z wyrzucaniem z zakładów pracy?

**Jan HERNIK:** Nie mogę powiedzieć, przypuszczam, że tak było, ale ja pozostałem w Gdyni tylko przez rok. Zostałem przesłany do Kołobrzegu, więc nie wiem. W każdym bądź razie u nas w klasztorze nocowali z komitetu strajkowego, ponieważ przez naszego brata zakonnego my mieliśmy kontakty ze stoczną w Gdańsku, to od razu z Gdańska dzwonili, jak się rozpoczął strajk, do nas i oni przystali do nas tych z komitetu strajkowego, żeby SB ich nie wyłapała i u nas nocowali. I proszę sobie wyobrazić, przed północą do nas milicja przychodzi. Myśmy myśleli, że oni przyszli, że ktoś wydał, że po tych z komitetu strajkowego, a tu nie. Oni przez komitet wojewódzki partii przybywali do każdej parafii, żeby uspokajać ludzi, że wszystko będzie rozpatrzone, omówione, że będą postulaty rozpatrzone i zafatwione. Więc oni tylko po to przyszli, że z taką prośbą, z życzeniem, żeby ogłaszać na mszach, że uspokajać ludzi. Tak że mogli spokojnie przenocować u nas z komitetu strajkowego.

Głos: A przeskoczę teraz do Stanów Zjednoczonych. Mówił ojciec, że był tam w czasie, kiedy zaczęła przybywać emigracja solidarnościowa.

**Jan HERNIK:** Tak.

Głos: Czy w parafiach ojca i jeżeli tak, to w jaki sposób, zbieraliście pomoc czy też organizowaliście pomoc dla Polski?

**Jan HERNIK:** Myśmy to robili razem z biskupem, z władzą diecezjalną. Biskup Bridgeford, ja byłem wtedy w Bridgeford.

Głos: Ja mam prośbę.

**Jan HERNIK:** Tak?

Głos: Czy mógłby ojciec powiedzieć: „Organizowaliśmy pomoc dla Solidarności, dla Polski”? Bo pytania nie będzie, a wtedy nie będzie wiadomo, o czym...

**Jan HERNIK:** Tak, jak oni przybywali z tego obozu przejściowego w Austrii, to ja wyjeżdżałem, żeby ich powitać, żeby ich tam zaprowadzić do tego ośrodka Caritas diecezjalnego i ludzie z naszej parafii z nimi zawarli kontakty, i myśmy ich włączyli do parafii, myśmy im pomagali z pracą i żeby jakoś mogli poznać to nasze środowisko.

Głos: A czy była organizowana pomoc dla Polski, przesyłana tutaj?

**Jan HERNIK:** Tak, jak najbardziej. Była. Parafie różne składki urządzały, zbiórki przeróżne były urządzone. I biskup przybywa miejscowy, choć Amerykanin i zachęcał do udzielania takiej pomocy. I te powiedzmy biura wysyłkowe, one też się przyczyniały, nieraz bezpłatnie jakoś mogliśmy przesyłać różne leki czy inne rzeczy potrzebne wtedy.

Głos: I w takim razie jeszcze na koniec przeskoczę na Białoruś. Wspomniał ojciec, że Białoruś wygląda tak, jak Polska w latach 70. A ja zapytam się o jeszcze inną rzecz. Czy ojciec odczuwał to, że te tereny kiedyś, kiedyś, kiedyś, dawno temu należały do Polski?

**Jan HERNIK:** Oczywiście. Ja się interesuję tymi sprawami i piszę, i szukam śladów polskości nawet tutaj na tym miejscu. I ostatnio zaczęli mi przysyłać niektóre rzeczy tam, i pana Żaryna książeczkę przez internet otrzymałem, i inne rzeczy z tych stron, więc bardzo się interesuję.

Głos: A czy mógłby nam ksiądz opowiedzieć o tych śladach polskości tutaj?

**Jan HERNIK:** Już wspominałem, że zastępując księdza w jednej parafii, stąd ze 30 kilometrów, w Podświlu i chodząc po okolicy odnalazłem te mogiły młodych żołnierzy polskich z Korpusu Ochrony Pogranicza. I zwróciłem się do ambasady, żeby coś zrobiono, żeby jakoś to chronić. Chyba ze dwa lata to trwało, zanim cokolwiek tam zrobiono. W każdym bądź razie są te ślady. Tam, gdzie jest kościół, gdzie są księża, tam ta polskość jakoś trochę podnosi się. Tu ludzie starzy mi mówią: „Myśmy wszyscy tu byli Polacy”. Ale później jak zmienił się ustrój, to nas zapisali jako Białorusy. I nasze dzieci czy wnuki to już Białorusy, choć korzenie polskie.

Głos: W takim razie jak wyglądają działania? Czy są podejmowane działania przez Kościół, przybliżające i historię Polski, i język polski?

**Jan HERNIK:** Jeśli ktoś się zwróci do nas, to my udzielamy pomocy. Są nieliczne wypadki, żeby nas proszono o pomoc w nauczaniu języka. Trochę się teraz ruch zaczął w związku z kartą Polaka. To troszeczkę się ruszyło, że oni chcą się dowiedzieć o historii Polski, powiedzmy, czy języka trochę się poduczyć. Ale myślę, że ambasada polska ma tutaj pole do działania, bo my gdy będziemy się tym zajmować, mogą wtedy w nas uderzyć, że my polonizujemy. Jeśli nas proszą, tak, ale programów nie wprowadzamy żadnych.

Głos: Wspomniał ojciec, że jeździ po Białorusi, mając kontakt z różnymi parafiami, z różnymi środowiskami. Gdyby

miał ojciec spróbować oszacować, jak liczne jest środowisko Polonii, Polaków, którzy mieszkają na tych ziemiach.

**Jan Hernik:** Ci, którzy trzymają się Kkościola, to bym powiedział, że w większości to są Polacy. Mało jest tych powiedzmy Białorusów. To są ludzie głównie starsi, najwierniejsi. Jak tu u nas odprawiamy i po polsku, i po białorusku. Po białorusku rozumieją prawie wszyscy. Po polsku to dzieci i młodzież nie rozumieją. Albo słabo rozumieją. Więc języki dwa są w naszej liturgii tutaj, polski i białoruski, ale ze względów duszpasterskich trzeba więcej po białorusku. NaA Białorusi takie miejscowości, które być może przez moich przodków były założone. Koło Sztuczyna są takie wioski, Herniki, moje nazwisko Hernik. Moja babcia jest z Kołłątajów. Pod Wołkowyskiem jest wioska Kołłątaj. Czyli jakby jakieś korzenie, ślady tutaj na Kresach. Gdy chodzi teraz o to miejsce. Józef Korsak razem ze swoją żoną, zaprosili tu franciszkanów w 1642 roku. Korsakowie to taka rodzina kniaziów połockich, którzy od wieków byli prawosławni, ale wtedy w XVII wieku pierwszy z nich, Józef Korsak przeszedł do Unii. Najpierw do Unii, a później przeszedł do Kkościola rzymskokatolickiego i pod koniec życia stał się takim gorliwym fundatorem, dobrodziejem, że w Głębokiem dwa kościoły, ten parafialny obecny i ten, który jest teraz cerkwią. On tam wystawił klasztor i kościół dla karmelitów. Tam był zresztą pochowany. Nas tu zaprosił. Myśmy przybyli po roku, przybyło nas ośmiu od razu franciszkanów. Z prowincji litewskiej, tak się to nazywało. Głównie ze szlachty byli franciszkanie. Mniej więcej mam spisy zmarłych. Trzy czwarte to są ze szlachty. I później ta szlachta fundowała różne nasze dalsze klasztory, kościoły, więc otrzymaliśmy siedem wiosek, siedem jezior i tu majątek. Drewniany kościół był pierwszy i klasztor był drewniany. Dopiero w XVIII wieku zaczęli budować franciszkanie ten obecny i budowali przez dłuższy czas. Trzy skrzydła zbudowali. Kościół zaczęto budować w 1777 roku. Nasz były prowincjał, jak jest tam napisane: „Wysłuszony prowincjał”, ojciec Towiański, biskup białoruski. Tak go nazwano, bo Katarzyna II utworzyła biskupstwo białoruskie, które później Ojciec święty pod naciskiem zatwierdził i on był takim sufraganem, pomocniczym biskupem wileńskim na Białoruś. On położył kamień węgielny. I kościół budowano długo. Już w 1791 roku był ukończony, ale w stylu późnego baroku wileńskiego. A w XIX wieku przerobiony, jak mogliście zobaczyć, na neoklasycyzy. Są tam elementy neoklasycyzmu, dość dużo. W 1837 roku był ukończony kościół i myśmy tylko pozostali jeszcze przez kilkanaście lat, do 1851 roku. Wtedy władze carskie nas usunęły stąd. Pozostawiono jednego franciszkanina, a my musieliśmy się stąd usunąć. Nawet nie wiem, bo nie dotarłem jeszcze, choć mamy spis dokumentów naszych, jakie są w archiwum państwowym w Petersburgu, ale jeszcze do tegośmy nie dotarli. Jak, kto tam, gdzie został przesłany. Myślę, że do Wilna w większości, ale myśmy tu mieli cały łańcuch klasztorów franciszkańskich. Postawy tam, skąd pan Kęstowicz, aktor. Wiecie, że jego dziadek przechowywał Piłsudskiego? A Piłsudski, jego stryj nie chciał go przechowywać. W Mosarzu Piłsudskiego dwór był. Tu, bliźniutko stąd. Więc następnie byliśmy w Prozorakach. Mniej więcej co 40-50 kilometrów. Taki łańcuch. W Dziśnie, w Połocku byliśmy. I tutaj bardzo dużo było franciszkanów. W spisach zmarłych mamy ponad 1900 franciszkanów z tej prowincji, tak zwanej litewskiej. Kiedyśmy stąd odchodzili, pozostało pod kościołem pochowanych 51 franciszkanów. Ich nazwiska, choć niekompletne, ja teraz uzupełniłem, są w podziemiu. Jeśli chcecie zajrzeć do podziemi, one były wszystkie zniszczone później, te pochówki, ale myśmy trochę tam odnowili tak. Przybywa do nas bardzo dużo pielgrzymek i wycieczek. Z Mińska, z Połocka, z Witebska, z głównych miast, z różnych miast Białorusi. Głównie przyciąga ksiądz prałat w swoim Mosarzu. On to wszystko zaczął, ale do nas przybywają. Mamy szopkę ruchomą. Nie taką jak w Niepokalanowie, ale tu przybywają nie tylko dzieci, szkoły, ale ludzie dorośli również oglądają z przyjemnością. Jest w dwóch językach, po polsku i po białorusku. Każdy słucha. Więc kiedyśmy stąd odeszli, przybyli księża diecezjalni, kościół był dalej otwarty przez cały czas, ale władze carskie wydały taki ukaz, że mają dwa skrzydła być zniszczone, żeby już monachi nigdy tu nie wrócili, bo to było gniazdo polskości i katolicyzmu.



Więc wszystko opadało. Nie można było nic ruszyć, nic naprawić. Dachy zaczęły opadać, ściany już niszczały i wtedy zaproszono na prośbę proboszcza dzielnego, księdza Zawadzkiego, zaproszono te władze carskie tutaj. Tam, gdzieśmy byli, do tego naszego refektarza klasztornego. I kiedy oni jedli, może i popijali, wtedy przypadek się taki zdarzył, a może urządzono takie coś, że jedna ściana z hukiem runęła. Oni przyszli, zobaczyli, jak to wszystko wygląda i proboszcz mówi, że może kogoś zabić, żeby to jakoś rozebrać. I odpowiednie pisma posłali do władz w Petersburgu i otrzymał proboszcz, jako chyba jedyny przypadek na Białorusi, zgodę na to, że on ma podarowane te dwa skrzydła. Może z nimi robić, co zechce. I otrzymał pismo podpisane przez cara. Tak że prawosławni ani władze carskie nie mogły mu przeszkodzić, bo tylko pokazał podpis, to oni się kłaniali, że jest podpis cara. Ksiądz bardzo dzielny, Zawadzki. Zresztą on był kanonikiem regularnym z Wilna. I do 1948 roku był kościół otwarty. Była parafia rzymskokatolicka tutaj. Księża diecezjalni obsługiwali. Ostatni dwaj są pochowani tam przed wejściem do kościoła. Widzieliście takie dwie mogiłki, dwa pomniki. A w 1948 roku komuniści postanowili ten kościół odebrać katolikom. I wysyłali milicję tutaj, żeby do tego kościoła wejść i skład ziarna zrobić. A katolicy tak się bronili, że naprzeciwko kościoła mieszkała staruszka, Grasylda i jak ona zobaczyła, że milicja przyjeżdża, to ona wtedy przebiegała drogę i do tamtej dzwonnicy. Przy głównym wejściu do kościoła dzwonnica jest. Ona w dzwony i ludzie z wiosek się zbiegali tutaj, stawali przed tym i mówią: „Nie wpuszczamy was”. Milicja nie chciała się bić, odjeżdżali i kościół pozostawał. Młodzież wtedy, teraz te staruszki przybywają, ale wtedy młodzież. Oni podczas lata tu nocowali przy kościele, żeby nie zabrano kościoła. Aż dopiero jakiś komunista się wkradł, odciął sznur od dzwonu, nie można było powiadomić ludzi, co się dzieje. I wtedy oni się włamali bocznymi drzwiami do kościoła, otworzyli drzwi główne, ciągnik wjechał, ławki odsunęli, ziarno wysypali i przez 40 lat był skład ziarna. Aż dopiero jak się pierestrojka zaczęła, to ludzie, katolicy zaczęli jeździć do Moskwy, do Mińska, do władz, oddajcie nam kościół, podpisy zbierali. I klękali, jak mi opowiadały te uczestniczki, klękali przed tymi władzami, że: „Wy oddajcie nam kościół”. Ponad 50 komunistów miejscowych napisało protest, że nie możemy oddać tego składu ziarna, ale jednak władze przychyliły się do prośb katolików i oddano. Pierwszy tutaj był ksiądz Zawalniuk, który jest dzielnym takim proboszczem w Mińsku. Słyszeliście z pewnością o czerwonym kościele. A po nim zaraz przybył ten ksiądz Litwin, Bulka, bardzo dzielny i oddany polskości, bo on mówi, że: „Ja wyświęcony tylko dla Polaków”. Tylko trzy miesiące się uczył na księdza. Już jako pan na emeryturze, po zakończeniu 60 lat i poręczył za niego ten patriarcha Polonii z Litwy, ksiądz prałat Józef Obrembski. Że to jest człowiek całkiem oddany Kościołowi. Rzeczywiście takim się okazał. Przygotowali go w Polsce, we Włocławku. Ksiądz biskup Andrzejewski przygotował do odprawiania mszy i zaczął odprawiać, i tylko po polsku odprawia, choć nie bardzo po polsku mówi, ale odprawia po polsku i nie daje nawet nam odprawiać. Ja teraz za niego odprawiam. To wiadomo, ja po polsku odprawiam, ale jak większy odpust, to prosimy nieraz, tyle jest młodzieży i dzieci, żeby po białorusku, to on tylko z wielkim trudem dopuszcza, żeby odprawiać po białorusku. Kiedy on już tu odnowił trochę, odzyskał i nie tylko kościół, bo już parafianie odzyskali, ale ten klasztor, tu była szkoła, później nauczyciele mieszkali, później był internat, to znaczy z dalszych wiosek dzieci tu mieszkają zimą. To wtedy ludzie napisali stąd list do franciszkanów w Warszawie. Tam przy Zakroczymskiej jak franciszkanie są. Napisali: „Tutaj byli franciszkanie. My dotychczas obchodzimy franciszkańskie odpusty, więc czekamy na was, przyjeżdżajcie”. To był rok 2000. I ojciec, który jest przełożonym, gwardianem, który z Miedniewic jest rodem, on przyjechał z Kaługi, właśnie z tą zakonnicej monaszki rozmawiali. Później przyjechał drugi ojciec, który pracował, z Polski też, ale pracował tam gdzieś koło Puszczy Białowieskiej, po stronie białoruskiej, a ja przypadkiem tu się dostałem, jako trzeci. I tak wróciliśmy. Po 150 latach wróciliśmy tutaj.